

Wstęp

Jest lato 2012 roku. Kilka miesięcy wcześniej z wielkim hukiem otwarto świeżo dobudowane południowe skrzydło królewskiego zamku w Sanoku, przeznaczone na Galerię Zdzisława Beksińskiego, którego prace siedem lat wcześniej – w niespotykanej skali – trafiły do miejscowego Muzeum na mocy testamentu Artysty, zamordowanego we własnym mieszkaniu 21 lutego 2005 roku.

Stoję w jednej z sal, przygotowywanych kilka miesięcy wcześniej z wielką pieczołowitością i oddaniem przez dyrektora Muzeum, Wiesława Banacha. Kilka metrów ode mnie w obrazy Mistrza wpatrują się dwie Japonki, które chwilę wcześniej zeszły tu z wyższej części zamku. Obie patrzą na niezwykle malowidła. Patrzą i płaczą, a ja – pomimo całej intymności tej sceny – nie potrafię przestać wpatrywać się w ten niecodzienny widok, kompletnie zdumiony tą wylewnością introwertycznych – wydawałoby się – Azjatek.

Kilka lat później, w 2017 roku w Chicago przygotowuję z Darkiem Lachowskim i prof. Lechem Karwowskim, dyrektorem Muzeum Narodowego w Szczecinie, wystawę Zdzisława Beksińskiego, która już za dwa dni będzie otwarta w Polish Museum of America. Co jakiś czas pojawia się ktoś z prasy czy środowisk polonijnych, by zadać kilka pytań. Pojawia się też sympatyczna dziennikarka, która wobec wieszanych obrazów siada na ławeczce i chowa twarz w dłoniach. Ogarnia się dopiero po chwili, wyciera oczy i – już uśmiechając się – wyznaje, że mają dla niej szczególne znaczenie.

Znów nieco później, chyba w kolejnym roku, w tej samej sali, w której płakały wspomniane Japonki, w tzw. „Labiryncie”, spotykam grupę Włochów, z których zwłaszcza jeden wydaje z siebie głosy egzaltacji, których nie powstydziliby się najbardziej stereotypowy południowiec rodem ze starych komedii. Kalekim włoskim zagajam rozmowę i dowiaduję się, że przyjechał tu poniekąd przypadkowo i przeżywa właśnie artystyczne olśnienie. Nie przesadza, a do Sanoka wracać będzie wielokrotnie, sam Mistrz – a raczej jego sztuka – zapali go zaś na dobre do kultury polskiej, stając się bodźcem do nauki polskiego języka (który także niebawem posiędzie, dokładając do biegłej znajomości chińskiego, jest bowiem sinologiem...).

Takich historii i scenek mógłbym przytoczyć wiele, a każda przypominała na swój sposób widok uderzonego obuchem. Zapewne może sam wyglądałem podobnie, gdy w 2005 roku pierwszy raz zawitałem w Sanoku i razem z ówczesną dziewczyną – a obecną żoną – wszedłem do miejscowego Muzeum. W każdym razie skłania to do myślenia: co

z nich stanowiła podobne doświadczenie: oglądanie ludzi uderzonych obuchem. Oczywiście, nie każdy reaguje w ten sposób, jest to udziałem jakiejś węższej części publiczności, ludzi o szczególnej wrażliwości. Tym niemniej są to reakcje na tyle powszechne, że można i chyba trzeba mówić o fenomenie Beksińskiego, jakichś szczególnych właściwościach jego malarstwa, które właśnie w ten sposób oddziałuje na gros odbiorców.

Z czasem przestały mi wystarczać sztaprowe odpowiedzi, odsyłające do niuansów techniki czy potęgi wyobraźni Artysty. Sam, coraz częściej pytany o Beksińskiego, odpowiadałem i odpowiadam w ten sposób, limitowany czasem i potrzebą zwięzłości. Mam zarazem poczucie, że poznanie jednej, uniwersalnej odpowiedzi na to pytanie jest niemożliwe. Jest to bowiem sztuka niezwykle osobista, a jednocześnie odbierana na bardzo osobistym poziomie.

Nowozelandka -

Dmochowski –

Ilekoć doświadczam podobnych reakcji – a takich scenek mógłbym przytoczyć naprawdę sporo – zachodzę w głowę: co takiego ma w sobie ta sztuka, że działa na ludzi w tak silny sposób? Z czasem, coraz częściej angażowany w twórczość Mistrza, odpowiadam na podobne pytania, ale moje odpowiedzi nie zadowolają chyba nawet mnie. Sztampowe odniesienia do niuansów technicznych, skierowanie uwagi na potęgę wyobraźni malarskiej, potencjał zaklętych w tych dziełach emocji, wszystko to brzmi trochę sztucznie i nie do końca oddaje istotę rzeczy.

Sklania mnie to do głębokiego zainteresowania biografią i artystyczną ścieżką Beksińskiego, która staje się dla mnie wielką przygodą – spotkaniem z człowiekiem niezwykłym i ujmującym na wielu poziomach. Staje się możliwością obcowania z człowiekiem budzącym sympatię, podziw i współczucie jednocześnie.

Zależy mi na tym, by opisać go w sposób możliwie najwierniejszy prawdzie, bo – w moim przekonaniu – właśnie ten autentyczny obraz człowieka z krwi i kości, targanego wewnętrznymi dramatami, lękami i wątpliwościami, z wszelkimi niuansami jego portretu psychologicznego – jest zarazem obrazem najkorzystniejszym. Nie chodzi tu więc o idealizowanie, które zresztą budziłoby w Beksińskim odruch wymiotny, ...

Sam uważał grzebanie w cudzej prywatności za wielkie świństwo i na tym punkcie – właściwie od dzieciństwa – był szczególnie wyczulony. Zarazem jednak sam o sobie pisał bez skrępowania: w tysięcznych listach, ale także w wywiadach, bez ogródek mówił o swoich kompleksach, dziwactwach i najskrytszych, nierzadko perwersyjnych, wizjach. Napisano o nim bardzo wiele, skupiając się często na anegdotycznej warstwie – co uczyniła w dobrej skądinąd biografii podwójnej – Magdalena Grzebałkowska. Brakowało jednak skupienia się na tym, co stanowiło istotę – jego sztuce, artystycznej ścieżce, inspiracjach, sposobach myślenia o dziele, metodach pracy i motywacjach. O tym pisał najwięcej i najlepiej niezrównany w tym względzie Wiesław Banach, ale czynił to na kartach wydawnictw albumowych, nie biograficznych. Z kolei bogactwo informacji o Beksińskim czerpiemy z książek Piotra Dmochowskiego, niesłusznie w tym wypadku omijanych przez rzeszę fanów Mistrza, zacierzewionych na dawnego marszanda. Najwięcej jednak i najlepszego materiału dostarczają nam źródła pierwszej ręki – pamiętniki Beksińskiego i jego bogata korespondencja.

Wielowymiarowość tego portretu ułatwia w największym stopniu bogata korespondencja prowadzona z ludźmi różniącymi się zainteresowaniami i motywacjami. Interesowały ich różne sfery życia i aktywności Beksa, łączyły ich z nim różne relacje i zainteresowania, stąd takiego bogactwo tematów poruszanych rozmów.

Z pewnością niezwykle oryginalny – jedna z najbarwniejszych postaci w świecie polskiej kultury i sztuki, ale nie tylko ze względu na mnogość dziwactw, osobliwych przyzwyczajęń, ale także ze względu na sposób w jaki potrafił sobie z tego dworować i opowiadać o tym z czarującym dystansem i autoironią. Ale to oczywiście tylko powierzchowność człowieka o nieprawdopodobnie głębokim wnętrzu i rzadko spotykanej szerokości horyzontów i zainteresowań...

Perfekcjonista

Erudyta

Beks jako młody fotograf – jego wyjazdy na wieczory autorskie

Każdy wyjazd stanowi poważne wyzwanie dla wątego budżetu rodzinnego. Zdzisław liczy każdy grosz, a mimo to często odpuszcza kolejne wernisaże i wieczory autorskie, niezdolny do ich sfinansowania. Kiedy już wyjeżdża, to zawsze starannie spakowany przez Zosię do jednej walizki, do której – wracając – nie umie z powrotem zładować swoich rzeczy (bywa, że pożycza więc drugą walizkę)¹.

Kilka razy wybiera się w trasę motocyklem, którym robi setki kilometrów pomimo pogody i pory roku...

Kiedy kończy się młodość Beksa? - Bex o tym, kiedy kończy się jego zdaniem młodość, LSC s. 41

¹ - Bex o dawnych wyjazdach na wieczory autorskie, które – jako „kontrowersyjny fotograf” – miewał. Wówczas pani Zosia pakowała go do walizki, którą, gdy już wypakował, nie był w stanie spakować z powrotem (bo potrzebował drugiej, na włożenie wszystkiego, co w niej uprzednio było i czasem istotnie pożyczał taką drugą walizkę), LSC s. 22